

MARGARET MITCHELL

ZAGINIONA WYSPA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bill Duncan usiadł wygodniej na krześle i zapalił fajkę. Milczałem, czekając, aż sam się odezwie, bo wiedziałem, że małomówny Irlandczyk opowie mi historię, której warto wysłuchać.

- No więc, mój chłopcze, powiadasz, że romantyzm i przygoda zaginęły wraz z kapitanem Kiddem? Otóż wiedz, że tak nie jest.

Duncan umilkł i wyjrzał przez okno, za którym czerniała tropikalna noc. Dobięły mnie wszystkie nocne odgłosy i zapachy - jakże nowe i dziwne dla nowojorczyka - a mrok ożył w mojej wyobraźni przeróżnymi zwierzętami i ludźmi.

- Nie jest tak - powtórzył nagle Duncan. - Czy pamiętasz wyspę Laysen?

Skinąłem głową, czując rosnące zainteresowanie. Niewielu już ludzi pamiętało, że przed piętnastoma laty gazety drukowały artykuły na temat zniknięcia Laysen, wulkanicznej wyspy należącej do archipelagu Tonga. Była to dość duża wyspa, zamieszкана głównie przez Japończyków, Chińczyków i kilkoro białych.

- A zatem - mówił wolno Duncan - piętnaście lat temu służyłem jako pierwszy mat na „Kalibanie”, małej, starej łajbie przewożącej pasażerów i towary na Tonga. Przeklęta to była robota, Charley, człowiek pływał od jednej wyspy do drugiej i nigdy nie wiedział, czy któryś Japończyk nie wbije mu po drodze noża między żebra. Ówczesne życie było nieustanną walką, ale wtedy mi to odpowiadało. Zdaje się, że począłem zapominać, iż jestem białym człowiekiem, i coraz bardziej przypominałem żółtego, kiedy się zjawiała ona. Wsiadła w porcie Yindano, kierując się na Laysen, i gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że nigdy jej nie zapomnę. To nie był żart, mój chłopcze - dodał Duncan, widząc, że uśmiecham na myśl, iż taki nieokrzesaniec jak on żywi podobne uczucia. - Tak dawno nie widziałem kobiety, przyzwoitej kobiety pochodzącej z chrześcijańskiego kraju, że chyba zapomniałem, iż coś takiego w ogóle istnieje.

Przez jakiś czas Duncan pykał fajkę, a na jego pobrużdżonej twarzy rozlało się miękkie światło.

- Charley, mój chłopcze: zakochałem się w tej kobiecie. Nie mogłem się oprzeć owemu uczuciu, choć zdawałem sobie sprawę, że nie mam szans; ona należała do innych sfer. Ciekaw jestem, dlaczego małe kobietki zawsze tak bardzo poruszają nas, wielkich mężczyzn. Miała niewiele ponad pięć stóp wzrostu i ważyła co najwyżej sto piętnaście funtów. Mógłbym ją podnieść jedną ręką i w ogóle bym nie poczuł. Jednakże za nic w świecie bym jej nie tknął! Jej oczy nikomu by na to nie pozwoliły. Były szaroniebieskie, spoglądały prosto i śmiało, bez cienia kokieterii. Miała mocny, prosty nos i usta w kształcie Kupidowego łuku. Nieczęsto, Charley, widzi się takie usta - stworzone do całowania.

Gdy ją ujrzałem w Yindano, jak wchodzi po trapie na statek, mogłem jedynie gapić się na

nią. W owym czasie wyglądałem jak dzikus. Byłem jeszcze dzikszy niż teraz. - Duncan roześmiał się chrypliwie, a odgłos ten zabrzmiał dla mnie jak zgrzyt. - Brałem niedawno udział w jakiejś bójce, toteż głowę i rękę miałem obwiązaną brudnym bandażem; wyglądałem jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Stałem i patrzyłem na nią jak skończony głupiec, dopóki nie weszła na pokład i nie postawiła na nim swojej torby. Kiedy obróciła się twarzą do mnie, przypomniałem sobie o dobrych manierach i czym prędzej porwałem czapkę z głowy; w obecności kobiety uczyniłem to po raz pierwszy od pięciu lat. Jej bystre szare oczy przebiegły mnie od stóp do głów, a potem się uśmiechnęła. Tak jest, Charley: uśmiechnęła się! I to nie półgębkiem, ale szczerze i otwarcie. Nie mogłem jej nie odpowiedzieć tym samym.

- Chyba się pan niedawno z kimś pobił - odezwała się i wybuchnęła śmiechem.

W tej samej chwili nadszedł kapitan i usłyszawszy ją, także się roześmiał.

- Duncan bez przerwy się z kimś bije, panno Ross - powiedział. - Jest nieszczęśliwy, jeśli nie wda się w burdę.

Poczułem, jak się czerwienię, kiedy jej błyszczące oczy wpatrywały się w brudną szmatę, którą zabandażowano mi głowę; byłem gotów zabić kapitana za jego słowa. Chociaż powiedział prawdę, nie chciałem, aby poznała ją panna Ross. Nie potrafiłem jednak wykrztusić ani słowa, milczałem jak zaklęty. Pożałowałem, że rano nie zgoliłem tygodniowego zarostu i nie umyłem twarzy. Po chwili kapitan odprowadził pannę Ross, by jej pokazać niewielką kajutę, i zostałem sam, opierając się o nadburcie. Patrzyłem za nią, póki nie znikła mi z oczu, dopiero teraz zauważyłem, jak schludnie i elegancko się prezentuje w swoim granatowym kostiumie z chłopięcym kołnierzykiem. Ach, Charley, była taka drobna, tak bardzo drobna. - Duncan urwał, żeby zapalić fajkę, która mu zgasała. Nie uważałem, że pięć stóp wzrostu to znowu tak mało, sam bowiem miałem pięć stóp i sześć cali, Duncan jednak miał co najmniej sześć stóp i trzy cale oraz wielki, umięśniony tors. - No więc, pognałem w te pędy do mojej kajuty i przygotowywałem się do pośpiesznego golenia, gdy wszedł kapitan. Szkoda, że nie słyszałeś, jak zagrzmiął śmiechem, widząc moją pokrytą pianą twarz. Rozzłościł mnie, Charley, do tego stopnia, że zacząłem przeklinać. Nie dziw się temu, mój chłopcze, kapitan i ja byliśmy dobrymi kompanami i karność nam nie towarzyszyła.

- O, widzę, że śliczny Bill Duncan myje się dla misjonarki! - przedrzeźniał kapitan.

Skamieniałem.

- Nie jest chyba misjonarką?!

- Ależ tak. - Kapitan wyszczerzył zęby.

- Do diabła! - krzyknąłem i odłożyłem brzytwę. Musisz bowiem wiedzieć, Charley, że niezbyt wysoko ceniłem sobie misjonarzy i miałem po temu powody. - Skąd tyle o niej wiesz? - spytałem mruklawie.

Kapitan przestał się uśmiechać, twarz wydłużyła mu się jak żelazny gwóźdź.

- Nie twój interes - odciął się. - Wiem i już.

Służyłem pod rozkazami Jima Harrisona od pięciu lat i nigdy nie pytałem go o życie prywatne. Na Wschodzie, Charley, nie ma zwyczaju wypytywać człowieka o jego przeszłość, wiedziałem jednak, że panna Ross i inni ludzie z jej sfer zaważyli na życiu kapitana. Mimo to nie zadawałem żadnych pytań. Upłynęła dłuższa chwila, zanim kapitan ponownie się odezwał.

- Bill, panna Ross reprezentuje to, co najlepsze w Ameryce. Przyjechała tutaj, bo zmęczyło ją tamtejsze życie. Jej rodzina głupio postąpiła, pozwalając jej wyjechać. Panna Ross szuka przygód i wierz mi, Bill, znajdzie ich tu co niemiara... - Kapitan urwał i zaśmiał się. - Misjonarka? Mój Boże, Bill, jest równie pobożna jak i ty!

- Dokąd płynie?

- Na Laysen - powiedział ponuro.

- Chryste, Jim, nie możemy pozwolić jej tam jechać. To piekło na ziemi, a ci Japończycy to wcielone diabły... - przekonywałem zdenerwowanym głosem.

- A jak ją zatrzymasz? - warknął. - Sama sobie jest sterem i żeglarzem. Możemy jedynie mieć ją na oku. Sądzę, że przyjmiesz tę rolę z przyjemnością, nieprawdaż, Billy Duncanie? - Po czym, klepnąwszy mnie w ramię, wybiegł z mojej kajuty.

Tak więc ogoliłem się, umyłem, owinąłem głowę czystym bandażem i wyszedłem na pokład. Charley, mój chłopcze, nie żyłeś nigdy bez kobiet - przyzwoitych kobiet - przez pięć długich lat, nie wiesz zatem, jak się czułem. Chciałem tylko ją zobaczyć, usłyszeć, być blisko niej. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że ją kocham, wiedziałem tylko, że chcę spojrzeć w jej spokojne, szare oczy i zobaczyć, jak porusza swymi czerwonymi ustami. Panna Ross była już na pokładzie, gdy się tam pojawiłem; przyglądała się Chińczykom załadowującym towary na naszą małą łajbę, obok niej stał kapitan i coś jej tłumaczył. Nie zanosiło się, aby w Yindano ktoś jeszcze miał wsiąść na statek, toteż byliśmy jedynymi białymi wśród szesnastu członków załogi - Japończyków, Chińczyków i tubylców. Kiedy się do nich zbliżyłem, kapitan przedstawił nas sobie, ale nawet wówczas nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa. Panna Ross po męsku uściśniła mi rękę, a ja o mało nie połamałem jej małej dłoni w mojej ogromnej łapie. Gdy załadunek dobiegł końca, kapitan Harrison posłał mnie do steru, żebym wyprowadził „Kalibana” z portu. Znajdowaliśmy się już spory kawałek od Yindano, biorąc kurs na otwarte morze, gdy raptem panna Ross wpadła do sterówki jak mały huragan.

- Czy ma pan lornetkę? - zapytała, a spostrzegłszy futerał wiszący na ścianie, pochwyciła go i wyciągnęła moją lornetę.

Przez chwilę spoglądała w stronę lądu. Najwyraźniej dostrzegła tam coś, co ją szalenie rozbawiło, gdyż naraz wybuchnęła śmiechem, zginając się wpół. W tym momencie nadszedł

kapitan, więc oddałem mu ster, wyjąłem jej z rąk lornetę i popatrzyłem w stronę Yindano. Na nabrzeżu, skąd nie tak dawno wypłynęliśmy, zebrał się spory tłum tubylców, przed którym biegał tam i z powrotem mężczyzna w białych spodniach, niebieskiej koszuli i panamie, gestykulując dziko w naszą stronę! Zaintrygowany, podałem lornetę kapitanowi. Panna Ross wciąż zanosila się ze śmiechu, aż oczy powilgotniały jej od łez.

- To Doug Steele! - parsknęła, klepiąc się z radości w kolano. - Najpierw nie chciał, żebym tu przyjeżdżała, a potem ruszył w ślad za mną! Zmyliłam jego czujność w San Francisco, ale długo nie kazał na siebie czekać. Jakże się cieszę, że nie zdażył na nasz statek. Czyż nie wygląda pociesznie? - Ponownie zatrzęsała się ze śmiechu.

- Może jednak powinniśmy po niego zawrócić - rzekł kapitan poważnym tonem, puszczając do mnie oko.

Panna Ross wyprostowała się zniecka.

- Wykluczone! - orzekła. - Sam jest sobie winien. Doug to porządny jegomość, ale stanowczo zbyt natrętny. - Panna Ross wyciągnęła lornetę z rąk kapitana, podeszła chwiejnym krokiem do nadburcia i znów spojrzała w kierunku brzegu.

- Widziałeś kiedyś coś podobnego? - spytał mnie półgłosem kapitan.

- Nie - przyznałem zgodnie z prawdą. - Kim jest ten Douglas Steele, Jim?

- Powinieneś częściej czytać gazety, Bill - stęknął kapitan. - To syn znanego fabrykanta broni, D.G. Steele'a, ale zarazem jeden z największych sportowców Ameryki; biega, rzuca młotem, skacze o tyczce i wzwyż. Mimo to nie rozumiem, czemu ugania się za Courtenay Ross po całej kuli ziemskiej.

- Courtenay - powtórzyłem i umilkłem; pomyślałem sobie, jakie piękne imię nosi panna Ross i jak bardzo ono do niej pasuje.

Tego popołudnia nie rozmawialiśmy już ze sobą, ponieważ stałem za sterem, ale gdy dotarliśmy do Buni - jednej z wysp, z którymi prowadziliśmy większość interesów - panna Ross oznajmiła, że schodzi na ląd z kapitanem. Nie wiedzieć czemu, Charley, statek wydał mi się bez niej szary i opustoszały; żałowałem, że nie towarzyszę jej na lądzie. Zatrzymaliśmy się na Bunie tylko na dwie godziny, a ponieważ i tak mieliśmy już dzień opóźnienia, zdjąłem kurtkę i podkoszulek, żeby pomóc tubylcom, ruszającym się jak muchy w smole, wylądować towary. Zamierzałem się ubrać na długo przedtem, zanim wrócą panna Ross i kapitan, ale czas szybko schodzi przy pracy. Właśnie podawałem skrzynie tubylcom, obrzucając ich wyzwiskami, gdy przypadkiem spojrzałem do góry. Na nadburciu, prawie tuż nad moją głową, siedziała panna Ross i podparwszy brodę na dłoni, obserwowała mnie czujnym wzrokiem. Natychmiast przerwałem pracę, przeklinając się w duchu: oto po raz pierwszy w życiu zależało mi na tym, aby zrobić na kobiecie dobre wrażenie, a tymczasem kobieta ta znalazła mnie półnagiego i klnącego jak pirat. Popatrzyłem

na nią bezradnie. Nie chodziło mi o mnie, ale nie chciałem, aby mój widok wprowadził ją w zakłopotanie. Ona jednak nie roześmiała się ani nie zarumieniła, przeciwnie - w jej oczach zobaczyłem absolutną powagę.

- Panie Duncan - odezwała się miękkim głosem - gdybym była mężczyzną, oddałabym wszystko w zamian za pańskie barki i mięśnie. - Ześliznęła się z poręczy, roześmiana zrobiła koziołka przez plecy i stanęła na pokładzie. - A także za pański język! - dodała.

W dalszym ciągu spieszenie wkładałem na siebie rzeczy, kiedy na morzu pojawiła się żalosna łódeczka o płaskim dnie, której bym nie powierzył swego życia ani na sekundę. W niej znajdowało się dwóch tubylców oraz białoskóry mężczyzna, ten sam, którego widziałem na nabrzeżu w Yindano. Gdy łódka podpłynęła bliżej, zobaczyłem przystojnego młodego człowieka, który mógł liczyć sobie około dwudziestu trzech lat, postawnego, o szerokich ramionach i wąskich biodrach. W pewnej chwili, gdy tamten, stojąc przy burcie, zerkał niespokojnie na „Kalibana”, przejął mnie dotkliwy ból. Nie zazdrość go wywołała, Charley, ale zwykły egoizm. Wiedząc, że nigdy nie zdobędę serca panny Ross, nie chciałem, żeby zdobył jej ktokolwiek inny. Poza tym zdawałem sobie sprawę, iż mężczyzna, który ma o kobiecie tak wysokie mniemanie, że podąża za nią ze Stanów do tego zapomnianego przez Boga kraju, nie da się łatwo zniechęcić w swoich staraniach. Kiedy łódka przybiła do brzegu, młody człowiek wyskoczył na ląd, przyniósł leżącą na dnie walizkę i zapłacił przewoźnikom. Patrząc na „Kalibana”, westchnął z głęboką ulgą, po czym zwrócił się do mnie (wciąż jeszcze zapinałem guziki koszuli) i zapytał z niepokojem w głosie:

- Czy panna Courtenay Ross jest na statku?

Przytaknąłem, milcząc, bo nie byłem w nastroju do gadania. Żałowałem, że nie wyglądam równie czysto - tak na zewnątrz, jak i w środku - jak ów młody człowiek. Tamten nie czekał na dalsze wyjaśnienia, ale wbiegł po kładce na pokład. Po chwili dobiegł mnie okrzyk zdumienia, wybuch śmiechu i słowa powitania. Kazałem zdjąć cumy i skierowałem „Kalibana” ku otwartemu morzu, lecz serce bolało mnie tak mocno, że chyba tylko cudem nie rozbiłem statku o rafy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nazajutrz rano panna Ross wyszła na pokład, powitała mnie i zaczęła zadawać mi pytania na temat statku. Kiepski ze mnie bawidamek, ale owego dnia szczególnie przeklinałem się za nieudolność, gdy bez żadnego powodu język nagle mi skołowaciał, kiedy panna Ross znalazła się obok mnie. Potem przyszedł Douglas Steele i oboje odeszli, rozmawiając i śmiejąc się głośno. Ach, Charley, drogi chłopcze, ileż bym dał za to, aby mówić tak gładko jak Douglas Steele. Ale nawet on nie zdołałby wyrazić myśli, które kłębiły się w mojej głowie.

Na następnej malutkiej wysepce, o którą zahaczyliśmy, wysiadło kilku pasażerów, sami tubylcy. Zabieraliśmy się do wypłynięcia, kiedy na pokład wszedł szczupły, śniady mężczyzna. Oczy zwięziły mu się na mój widok, jeśli bowiem ktoś mnie kiedykolwiek nienawidził, to właśnie on. Był mieszańcem - pół Japończykiem, pół Hiszpanem - i miał wręcz diabelską urodę. Jego łagodne, czarne oczy były lekko skośne, a pełne kobiece usta zawsze wykrzywiały się szyderczo. Jego włosy były miękkie, czarne i jedwabiste, a skóra nadzwyczaj gładka. W rzeczy samej, wyglądał na człowieka łagodnego i szlachetnego, ale jeżeli kiedykolwiek nawiedził ziemię czart z piekła rodem, to nazywał się Juan Mardo. Cieszył się wielkim posłuchem na wyspach, a zwłaszcza na Laysen, gdzie mieszkał, ponieważ nikt - ani biały, ani tubylec - nie mógł się z nim równać bogactwem. Juan Mardo nienawidził kapitana i mnie za to, że stanęliśmy na drodze niejednej zbrodni i uprowadzeniu, których dopuszczały się jego bandy. Bez słowa wszedł na pokład akurat wtedy, gdy przechodzili tamtędy panna Ross i Douglas Steele. Panna Ross obróciła głowę i popatrzyła na niego - przez zwyczajną kobiecą ciekawość, jak przypuszczam, gdyż istotnie był bardzo przystojny. Lecz Juan Mardo odwzajemnił jej się spojrzeniem, od którego zagotowała mi się krew w żyłach. Wzruszył ramionami i po japońsku powiedział do stojącego przy nim mężczyzny coś tak obrzydliwego, że tylko japoński kundel mógłby to wymyślić.

Znałem język japoński i Juan Mardo doskonale o tym wiedział. Sposób, w jaki popatrzył na pannę Ross, wzburzył mnie tylko, ale jego uwaga na temat małej damy doprowadziła mnie do szewskiej pasji. Schwyciłem kundla w pasie i grzmotnąłem nim o pokład. W tej samej chwili przyskoczyło do mnie trzech innych pasażerów, więc miałem ręce pełne roboty. Walczyłem zaciekle, a moje razy zaczynały odnosić zamierzony skutek, gdy nagle doszedł mnie jej głos:

- Naprzód, Billy Duncanie! Rąbnij go w szczękę! - A następnie: - Nie pomagaj mu, Douglasie, sam sobie z nimi poradzi!

Mimo wściekłości uśmiechnąłem się. A to dopiero podżegaczka! Większość kobiet krzyczałaby wniebogłoso albo w najlepszym razie zemdlą. Położyłem pierwszego tubylca na pokładzie i przygotowywałem się, by to samo uczynić z dwoma pozostałymi, kiedy naraz jeden złapał mnie za oba kolana, a drugi założył mi na karku półnelsona. Sytuacja stawała się poważna,

przed oczyma zawirowwały mi małe, jasne punkciki, mimo to słyszałem wciąż pannę Ross wydzierającą się niczym demon:

- Uwolnij się z nelsona, Billy Duncanie, uwolnij się z niego! No już! Dalejże! Prawie ci się udało, jeszcze trochę! - I wtedy w jej głosie zabrzmiała nuta przerażenia: - Och, Doug, on ma nóż! Zatrzymaj go!

Czując pieczenie w oczach, dostrzegłem, jak Juan Mardo się podnosi i rusza na mnie z nożem w ręce. Myślałem, że nic mnie już nie uratuje, byłem bowiem bezbronny jak małe dziecko, stojąc z piersią odsłoniętą na cios. Na moment wszystko zapadło się w ciemności, a potem usłyszałem dziki ryk kapitana Harrisona, siarczyste przekleństwo Douglasa Steele'a i poczułem, jak stalowe ostrze kęsa mnie w ramię; niemal równocześnie obaj napastnicy puścili mnie, a ja rzuciłem się ku Juanowi Mardo, nie bacząc na jego nóż. W końcu złapałem psa za gardło, przedtem jednak dźgnął mnie trzykrotnie w rękę. Przypuszczam, że byłbym go wtenczas udusił, gdyż korciło mnie, aby zabić go gołymi rękoma - nie za nieszkodliwe ukłucia nożem, które mi zadał, lecz za to, co powiedział o panie Ross. Dla niej bowiem walczyłem i w każdym ciosie, który wymierzyłem w owej bójce, była dzika radość. Czuję, jak Juan Mardo wiotczeje mi w rękach, gdy na moim ramieniu mocno zacisnęła się mała rączka i usłyszałem jej głos mówiący categorycznym tonem:

- Wstań, Billy Duncanie.

Chcąc nie chcąc, podniosłem się natychmiast. Gdyby panna Ross kazała mi wtedy pójść do piekła, poszedłbym tam najkrótszą drogą. Kiedy tak stałem przed nią - w postrzępionym, brudnym i zakrwawionym ubraniu - miałem silniejsze niż kiedykolwiek wrażenie, że jestem małym chłopcem. Wstydzilem się swojej wielkości i prostactwa i wiedziałem, że ona widzi we mnie jedynie zawadiakę, którym zresztą bez wątpienia byłem. Kapitan i Steele tymczasem uwinęli się z obydwoma zbirami i podeszli do nas; Steele wydawał się szalenie podekscytowany, Jim nie posiadał się z wściekłości.

- Billy Duncanie, czy nie potrafisz usiedzieć spokojnie przez pięć minut? Po kie lich wszcząłeś tę bójkę, i to właśnie z nim? - warknął.

W paru ostrych słowach powiedziałem mu po japońsku o grubiaństwie, z jakim Mardo potraktował pannę Ross. Kapitan uśmiechnął się cicho, nie chcąc, aby ta czegoś się domyśliła, ale w jego oczach dojrzałem nienawiść. Prawa ręka i ramię zaczęły mi pulsować; chwyciłem się poręczy nadburcia, żeby się nie przewrócić. Pokład zakręcił mi się przed oczami i poczułem nudności.

- Zaprowadźcie go do mojej kajuty. - Jej głos zdawał się dobiegać skądś z daleka.

Próbowałem słabo zaprotestować, ale musiałem stracić przytomność, gdyż w następnej chwili siedziałem z ręką na kolanach panny Ross, która rozcinała rękaw mojej koszuli. Steele i kapitan zniknęli. Jej chłodne palce pracowały szybko i zręcznie, toteż w krótkim czasie moja ręka

znalazła się na temblaku, a ramię zostało owinięte bandażem. Nadal siedziałem u jej stóp, opierając się o jej kolana, zbyt znużony, aby się poruszyć; już po raz drugi w ciągu dwóch dni widziała mnie bez koszuli. Czułem jej chłodne dłonie przesuwane się po moim karku i ześlizgujące po ręce. Spojrzałem jej w oczy i na ułamek sekundy dostrzegłem w nich wyraz najwyższej zgrozy. Nie umiałem go sobie wytłumaczyć, dopiero później uświadomiłem sobie, że panna Ross lęka się mojej niepoohamowanej siły, nie wiedząc, iż raczej wolałbym po stokroć umrzeć, niż ją skrzywdzić.

- Bóg dobrze pana stworzył, panie Duncan - odezwała się łagodnie, a nie słysząc odpowiedzi, zapytała szybko: - O co pan się pobił z tym Hiszpanem, panie Duncan?

Pokręciłem głową. Wprawdzie czułem się już lepiej, lecz na razie nie miałem ochoty do rozmów.

- Niech mi pan powie! - zażądała stanowczo, ale znów zaprzeczyłem ruchem głowy. - Czy chodziło o mnie? - spytała. - Co on takiego rzekł? - dodała prosząco.

- Nie mogę pani powiedzieć - odparłem, choć się obawiałem, że znowu ją rozzłoszcę.

Panna Ross milczała jakiś czas, tak iż sądziłem już, że moja odmowa istotnie ją rozzłościła. Potem jednak położyła mi rękę na głowie i zaczęła delikatnie wicherzyć mi włosy; niegdyś robiła tak moja matka.

- Dziękuję, Billy Duncanie - powiedziała dziwnie drżącym głosem.

Podniósłszy głowę, zobaczyłem wzbierające w jej oczach łzy. Ach, Charley, byłem w raju! Opierałem głowę na jej kolanach, ona mierzwiła mi włosy, a w jej oczach lśniły łzy - z mojego powodu! Wiedziałem jednak, że to, o czym marzę, nigdy się nie ziści, toteż westchnąwszy, zacząłem się podnosić z podłogi. Ale panna Ross położyła mi rękę na ramieniu i popchnęła mnie z powrotem.

- Dokąd to, chłopcze? - zapytała łagodnie.

Chłopcze! Może ci się to wydać zabawne, Charley, że oto dziewiętnastolatka zwraca się tak do dwudziestodwuletniego mężczyzny, ale raptem uzmysłowiłem sobie, że panna Ross widzi we wszystkich mężczyznach chłopca, którego lubi w nich najbardziej. W jej oczach mężczyźni byli po prostu chłopcami.

- Billy Duncanie, opowiedz mi o sobie - rzekła, przykładając chłodną rękę do mojego rozgrzanego czoła.

O ile przedtem z ledwością mogłem się przy niej odezwać, o tyle teraz, czując jej dłoń na swoim czole, bez trudu odnajdywałem słowa. Opowiedziałem jej, jak to mając szesnaście lat, opuściłem Irlandię, zostawiłem rodzinę, szkołę i przyjaciół. Musiałem uciekać, gdyż wziąłem udział w niewielkiej rebelii i za moją głowę wyznaczono nagrodę. Opowiedziałem jej, jak włóczyłem się po świecie, zbierając solidne kopniaki od życia i bijąc się wszędzie tam, gdzie toczyła się walka. Oczy panny Ross błyszczały, ilekroć wspominałem o bójkach i

niebezpieczeństwach - wiedziałem, że w jej kobiecej piersi bije serce prawdziwego mężczyzny. Gdy skończyłem swą opowieść, westchnęła cichutko.

- A zatem jest pan najemnikiem - stwierdziła. - W porządku, Billy Duncanie. - Raz jeszcze położyła mi rękę na ramieniu. - Bóg dobrze pana stworzył - powtórzyła.

- Dał mi dużo krzepy, lecz poskąpił rozumu - odpowiedziałem gorzkim głosem i ponownie złożyłem głowę na jej kolanach. Kajuta powoli zasnuwała się mgłą, aż wreszcie zmorzył mnie sen, lecz jej ręka nadal spoczywała na mojej głowie.

Kiedy się ocknąłem, byłem sam; do wnętrza kajuty wpadał blask księżyca. Wciąż siedziałem na podłodze i opierałem się na krześle, tyle że zamiast jej kolana miałem pod głową poduszkę, którą panna Ross tam umieściła, okrywając mnie także kocem. Wstałem i uważnie odłożyłem poduszkę i koc na miejsce. Jaka cisza panowała w spowitej księżycowym blaskiem kajucie! Było tak pięknie i nabożnie, że ja - Billy Duncan, najemnik i wieczny tułacz - nie miałem tu czego szukać.

Czułem się o wiele lepiej. Przywykłem do bolesnych razów, a sen przyniósł mi wypoczynek. Mimo to byłem ciągle osłabiony i idąc na pokład, musiałem trzymać się poręczy. Szedłem w kierunku mojej kajuty. Noc była spokojna, żadna bryza nie wydymała żagla, toteż „Kaliban” stał nieruchomo w świetle księżyca. Oparłszy się o maszt, nasłuchiwałem wrzasków, które dolatywały od kwater załogi, i na myśl przyszedł mi mój chrześcijański kraj... i panna Ross. Wtedy właśnie usłyszałem dwa głosy, najpierw Douglasa Steele'a, a potem jej. Wyjrzałem za maszt i zobaczyłem ich oboje po przeciwległej stronie, jak rozmawiają, oparci o nadburcie. Panna Ross przedstawiała tak cudowny widok dla biednego, złaknionego kobiet mężczyzny, jakim byłem, że stałem i gapiłem się na cienie pełgające po jej twarzy. Sennie przyglądała się srebrzystemu szlakowi, który księżyc przetaił na morzu; wydawało się, że nie bardzo słucha tego, co mówi do niej Douglas Steele.

- Ależ zrozum, Court - przekonywał tamten. - Nie możesz tutaj zostać. Dobrze wiesz, że nie jesteś misjonarką!

- Mogę tu zostać - wtrąciła się. - I owszem, jestem misjonarką, mam zamiar umyć tych małych japońskich brudasów i oduczyć ich rzucania się na ludzi z nożami.

Steele podniósł ręce w geście rozpaczy.

- Musisz wracać do domu, Court! Przecież wiesz, że cię Kocham, i dlatego pytam po raz dziesiąty: czy wyjdiesz za mnie? - Choć mówiąc te słowa, Steele się uśmiechał, tak naprawdę był śmiertelnie poważny. W tym momencie, nie wiedzieć czemu, serce zabolalo mnie bardziej niż rana, którą zadał mi nóż Juana Mardo. W pełni jednak zrozumiałbym, gdyby przyjęła jego oświadczenia, bo jeżeli kiedykolwiek mężczyzna szczerze kochał kobietę, to był nim właśnie Douglas Steele. A przecież, Charley, pragnąłem jej nad życie!

- Nie, Doug - odpowiedziała cicho. - Mam tutaj do wykonania pewną pracę, nie mogę wyjść za ciebie.

Współczułem Steele'owi, ale on opuścił ręce i rzekł równie cicho jak ona:

- Wobec tego zaczekam, aż twoja praca zostanie ukończona, mała damo.

Mała Dama! Tak właśnie nazywałem w myślach pannę Ross. Nie odzywała się, w jej oczach widziałem blask.

- Ta bójka dziś rano, czyż nie była wspaniała? - spytała nagle.

O mało nie parsknąłem śmiechem. Jak szybko zmieniał się jej humor! W jednej chwili potrafiła być władca lub czuła jak matka albo beztroska niczym uczennica, by w następnej stać się ucieleśnieniem odwiecznej mądrości kobiet albo małym chłopcem pełnym entuzjazmu do życia.

- Rzeczywiście - przyznał Steele. - Ten Irlandczyk to urodzony wojownik.

- To bardzo zacny człek - powiedziała i uśmiechnęła się na wspomnienie porannej bójki.

- Który w dodatku zadurzył się w tobie - stwierdził Steele, zapalając papierosa.

Ogarnęła mnie złość i miałem już ruszyć na niego, lecz po chwili mu wybaczyłem. Wszak się nie mylił - jego bystre oczy kochanka dostrzegły prawdę; poza tym obaj dzieliliśmy teraz ten sam los. Wstrzymując oddech w piersi, czekałem, co panna Ross mu odpowie.

- Nie bądź idiotą, Doug! - ofuknęła go.

- Ależ on kocha się w tobie. Poznałem to po jego oczach, bo prawie nigdy nie otwiera ust. Jego oczy przypominają mi tego owczarka szkockiego, którego miałaś w zeszłym roku. Dziwny jegomość...

- To bardzo zacny człek - powtórzyła miękko. - Mnie przypomina bardziej buldoga, z tą swoją silną szczęką. To jest porządny człowiek, Doug, szkoda tylko, że nie dano mu szansy zostać kimś więcej niż najemnikiem. Późno już: dobranoc, Doug, idę spać. - I odeszła, zostawiając Douglasa Steele'a sam na sam z księżycem.

Na Boga, jakież był z niego egoista! Chciał ją mieć całą dla siebie, podczas gdy ja - ja byłbym gotów umrzeć za jeden jej pocałunek albo skazać się na piekło za życia w zamian za pukiel jej złotobrzazowych włosów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Do Laysen dotarliśmy następnego dnia rano, a chociaż nasz pobyt na wyspie miał trwać jedynie godzinę, zabraliśmy Małą Damę i Douglasa Steele'a na przechadzkę po mieście. Otóż trzeba ci wiedzieć, Charley, że na Laysen, mimo jej okazałych rozmiarów, było tylko jedno miasto - nędzne i malaryczne, bo zbudowane na bagnach. W głębi wyspy, nie licząc tubylców, mieszkali tylko Japończycy, natomiast pojedynczy biali plantatorzy osiedlili się w pobliżu miasta. Zaprowadziliśmy pannę Ross i Douglasa Steele'a do senory Castro, która wynajmowała gościom pokoje. Owa senora była nie byle jaką łajdaczką, choć odznaczała się dobroduszością, a jej ceny były nader wygórowane. Lecz panna Ross i Steele zapłacili bez mrugnięcia. Widać było, że przyzwyczaili się do luksusów, które mieli w Ameryce, i woleli żyć wygodnie.

Kapitan Harrison znalazł osobiście większość plantatorów na Laysen, toteż napisał pannie Ross i Steele'owi listy polecające. Siedziałem pod kępą bambusa, gdy Jim kreślił owe listy, nie odzyskałem jeszcze bowiem pełni sił po wczorajszej walce. Po chwili ukazała się panna Ross.

- Panie Duncan! - zawołała wesoło. - Uważam, że pan również powinien dać nam parę listów polecających.

- Listy ode mnie? - odparłem, próbując się uśmiechnąć. - Gdyby wręczyła pani komuś list ode mnie, obawiam się, że wyrzucono by was za drzwi, panno R...

- Nie może mi pan mówić Courtenay? - wpadła mi w słowo. Roześmiała się i położyła na trawie.

Courtenay! Miałbym do niej zwracać się po imieniu? Jakoś nie mogłem się przemóc.

- Nie - wymamrotałem niezgrabnie. - Nie mogę. Dla mnie pozostanie pani na zawsze Małą Damą. - Umilkłem, czując się jak skończony głupiec; niemal się wystraszyłem, że znów ją rozgniewam albo że mnie wyśmieje.

Ale ona tylko spojrzała na mnie swoimi spokojnymi, szarymi oczyma i powiedziała:

- Dziękuję, Billy Duncanie.

Zbiła mnie z tropu, bo nie wiedziałem, za co mi dziękuje, lecz czym prędzej wstałem na równe nogi. Ona także się podniosła. Popatrzyłem na rozpalone ulice, gdzie bawiły się nagie, śniade dzieci, oraz na żółtych i brązowskórych mężczyzn palących papierosy w progach domów - i raptem uświadomiłem sobie, jak samotna musi się tutaj czuć panna Ross; ona i Douglas Steele byli jednak jedynymi białymi twarzami pośród owego żółto-brązowego morza. Na usta cisnęło mi się ostrzeżenie przed Juanem Mardo, ale ugryzłem się w język. Dziś rano, gdy tamten obserwował ją, jak schodzi ze statku, w jego diabelskich oczach czaiło się coś, co kazałoby każdemu białemu rozszarpać go powoli na strzępy. Tak, tak, Charley, dobrze znałem Japończyków. Nie trzeba żyć na Wschodzie dłużej niż pięć lat, aby się przekonać, że dla Japończyka życie i honor kobiety nie

przedstawiają żadnej wartości, a Juan Mardo upatrzył sobie moją Małą Damę. Zrazu chciałem ją o tym powiadomić, ale potem przyszło mi do głowy, że nie polepszy to sytuacji, a może tylko ją pogorszyć. Jednakże panna Ross była spostrzegawcza i wyczytała coś w moich oczach.

- Co chciał mi pan powiedzieć? - wyrzuciła z siebie szybko.

Otworzyłem usta, po czym się uśmiechnąłem.

- Tylko tyle, Mała Damo, że jeżeli będzie pani kiedykolwiek czegoś potrzebowała, zwłaszcza pomocy, proszę o mnie pamiętać.

Wówczas uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, że poczułem, jak zagłąda mi aż na dno duszy, i szczerze pożałowałem, że dusza ta nie jest choć trochę czystsza.

- Będę pamiętała. - Wyciągnęła do mnie rękę. - I dziękuję.

Ująłem jej małą, lecz mocną dłoń o długich, wąskich palcach i jak nigdy dotąd miałem ochotę ją ucałować. Ale byłem głupcem - wiedziałem o tym wtedy i wiem obecnie - więc puściwszy jej rękę, ruszyłem ulicą w kierunku „Kalibana”.

Upłynęły dwa tygodnie, zanim ponownie się spotkaliśmy, a i to jedynie przelotnie. Zobaczyłem ją i Douglasa Steele'a, w wesołym towarzystwie białych plantatorów, płynących pięknym, małym żaglowcem, około godziny drogi od wyspy Laysen. Wytworny Steele, ubrany w biały garnitur, tkwił za sterem, a obok niego stała panna Ross w białej bluzie marynarskiej i spódniczce. Cała ta kompania (w sumie siedem lub osiem osób) radośnie nas pozdrowiła, gdy przepływaliśmy obok, ale ja słyszałem wyłącznie jej głos dźwięczący nad innymi:

- Witaj, Billy Duncanie!

Kapitan wychylił się za nadburcie i zawołał:

- Jak się sprawuje nasza misjonarka?

Zebrani na pokładzie żaglowca huknęli salwą śmiechu. Panna Ross wydawała się nieco urażona, lecz marszcząc noc, odkrzyknęła buńczucznie:

- Daję sobie radę, niech pana o to głowa nie boli, kapitanie!

Tak więc przepłynęli obok nas wesołą gromadką, w której było miejsce zarówno dla kapitana Harrisona, jak i dla Douglasa Steele'a, ale nie dla Billy'ego Duncana.

Sądzę, że kapitan domyślał się, co mnie trapi, gdyż zanim się odwróciłem, kątem oka spostrzegłem współczujące spojrzenie, jakim mnie obdarzył. Nie zależało mi na współczuciu, choćby i najlepszego przyjaciela - zależało mi jedynie na niej. Pragnąłem jej tak, jak człowiek usychający na pustyni pragnie wody. Wkrótce moje pragnienie stało się tak wielkie, że zacząłem jej pożądać - do tego bowiem stopnia mi na niej zależało.

Ujrzałem ją dopiero dwa tygodnie później, po tym jak kapitan i paru Chińczyków odwieźli mnie, nieprzytomnego, na Laysen. Rzecz jasna nie widziałem jej, przebywając w krainie snów, lecz dopiero wtedy, gdy powróciłem do przytomności. Raz jeszcze, Charley, wdałem się w burdę na

„Kalibanie”, tylko że tym razem porządnie oberwałem. Kapitan z odrazą się mnie pozbył, przekonawszy się, że wszystkie awantury odbywają się z moim udziałem - że w istocie nie mam ochoty trzymać się od nich z dala. Tak czy owak, rozbiłem sobie głowę o kołek do owijania liny i moja rola w owej bijatyce dobiegła końca. Kapitan Jim, jak zawsze w podobnych przypadkach, oblał mnie kubłem zimnej wody, tyle że tym razem nie odniosło to żadnego skutku. Zaniepokoił się, kiedy nie doszedłem do siebie w zwykłym czasie, toteż odstawił mnie na Laysen, wiedząc, że jest tam biały lekarz. Nigdy nie odkryłem, co się stało potem, dość, że gdy ocknąłem się po dwóch godzinach, „Kaliban” zdążył wyjść w morze, a ja leżałem w ciasnej chacie znajdującej się naprzeciw domu senory Castro; nade mną pochylał się jakiś chudy, blady człecznina. Głowa okropnie mnie bolała, zrazu więc zauważyłem niewiele poza tym, że mały lekarz z ogromną ulgą powitał moje otwarte oczy. Potem się odwrócił, zwracając się do kogoś, kto stał za jego plecami, i wtedy usłyszałem czysty głos, który wykrzyknął:

- Więc nic mu nie jest, doktorze?!

W tym samym momencie cały ból i słabość uszły ze mnie bez śladu; spróbowałem usiąść na posłaniu, ale lekarz tylko się roześmiał i ułożył mnie z powrotem.

- Ludzi tego pokroju nie można zabić, panno Ross - stwierdził i począł pakować swoje rzeczy do czarnej skórzanej torby. - W ciągu dwóch godzin całkiem dojdzie do siebie, a gdy jutro wróci kapitan Harrison, będzie gotów do drogi.

Znów spowiła mnie szara mgła, usłyszałem jednak stłumiony odgłos zamykanych drzwi, toteż wiedziałem, że lekarz na jakiś czas mnie opuścił. Prawie lękałem się otworzyć oczy, myśląc, że śnię, a gdy się wreszcie ośmieliłem spojrzeć, panna Ross siedziała na stołku tuż obok mnie i uśmiechała się szeroko. Usiłowałem odwzajemnić jej uśmiech, ale nic z tego nie wyszło.

- Znowu się pan bił, panie Duncan - odezwała się tonem wyrzutu.

Skinałem głową; milczałem, nie mając nic na swoje usprawiedliwienie.

- Pewnego dnia zginie pan w takiej bójce - ostrzegła. - Czy wie pan, że otarł się pan dzisiaj o śmierć?

- Ocierałem się o śmierć wiele razy - powiedziałem znużonym głosem. - Nawet gdybym dziś umarł, nikogo by to nie obeszło. - Dlatego nadal żyję. - Urwałem, widząc, jak na mnie patrzy. Nie prosiłem o żal czy współczucie, choć może tak właśnie zabrzmiały moje słowa, ale panna Ross nie zamierzała mi ich okazywać.

- To wierutne kłamstwo - stwierdziła prawie od niechcienia. - Znam co najmniej troje ludzi, którym byłoby przykro, gdyby pan umarł.

- Jacy to ludzie?

- Pierwszym jest kapitan Harrison, drugim Douglas Steele, a trzecim...

- A trzecim...?

- Ja - dokończyła.

- Mała Damo - zapytałem tkliwie - czy naprawdę byłoby pani przykro?

- Tak - odparła, patrząc mi w oczy. - Bo bardzo pana lubię, Billy Duncanie.

- A ja... - Gorące słowa wypełniły mi usta, ale zmusiłem się do milczenia. Nie sprawiłbym jej radości, a mógłbym tylko ją zmartwić, gdyby się dowiedziała, że nieokrzesany, zaprawiony w boju najemnik kocha ją z całych sił i gotów by pójść do piekła i wrócić stamtąd na jedno jej skinienie. - ...Dziękuję pani - dokończyłem.

- Nie ma za co - odparła.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, po czym zapytałem:

- A jak tam praca misyjna?

Twarz panny Ross przybrała zasmucony wyraz, ale kąci jej ust lekko się uniosły.

- No cóż, moim zdaniem postępy są zadowalające: założyłam na wyspie szkołę dla dzieci, ale Douglas... - Zmarszczyła czoło. - Chce, żebym wróciła do Ameryki. Mówi, że... - Umilkła.

- Co mówi? - ożywiłem się z nagłym zaciekawieniem.

- Och, nic ważnego! Nie chcę pana nudzić.

- Myślę jednak, że powinna pani powiedzieć. Proszę, Mała Damo - dodałem, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem.

- No więc - zaczęła z przekorną miną - chodzi o Juana Mardo. - Obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem, ale na mojej twarzy nie odbiła się żadna emocja. - Douglas mówi, że zachowanie Mardo wydaje mu się podejrzane, ale ja nie uważam, aby tamten robił cokolwiek złego. Nie lubię go ze względu na to, co zaszło na „Kalibanie”, ale jest interesujący i bardzo mi pomógł.

- Pomógł pani? - zapytałem, starając się zapanować nad swoim głosem.

Mała Dama zerknęła na mnie w dziwny sposób i skinęła głową.

- Z początku nie mogłam nakłonić tych małych Japończyków i Chińczyków, żeby do mnie przyszli. Bardzo się starałam, ale wszystko na próżno, rodzice im nie pozwalali. Wówczas zjawił się Juan Mardo i obiecał, że ich przyprowadzi. I dotrzymał słowa: mam teraz tyle dzieci, że ledwo dają sobie z nimi radę. Natomiast Doug strasznie się irytuje.

- Uważam, że ma słuszość - rzekłem cicho. - Chcę pani powiedzieć o czymś, co przypadkowo usłyszałem niedawno. Trzech ludzi z naszej załogi rozmawiało między sobą na pokładzie. Znam język japoński, więc od razu się zorientowałem, że mówią o Juanie Mardo i... o pani.

- O kim? O mnie?! - wykrzyknęła w zdumieniu. - Proszę mówić dalej, to bardzo ciekawe!

- No więc mówili - podjąłem, obserwując wrażenie, jakie wywrą na niej moje słowa - że wpadła pani w oko Juanowi Mardo i że zamierza panią posiąść, uciekając się do wszelkich możliwych środków!

Słyszając to, Mała Dama otworzyła szerzej zdumione oczy; wiedziałem, że moje słowa głęboko ją zaintrygowały.

- O bogowie - westchnęła i uśmiechnęła się promiennie. - To rzeczywiście ekscytująca wiadomość!

- Mała Damo - powiedziałem - być może nie zdaje sobie pani sprawy, co ona oznacza.

Panna Ross zmrużyła oczy i omiotła mnie szybkim spojrzeniem.

- Ależ zdaję sobie. Nie jestem aż tak ograniczona. - Jej oczy zatrzymały się na bandażu, który owijał moją głowę, i jej zęby raz jeszcze błysnęły w szerokim uśmiechu. - To dlatego pan wdał się w tę bójkę? - Odwróciłem ze złością wzrok, nie chciałem bowiem, aby się dowiedziała. Ona jednak była na tyle bystra, że domyśliła się prawdy. - Rzadko który mężczyzna walczy równie bohatercko w obronie kobiety. Nie wiem, jak się panu odwdzięczę... Dziękuję. - Podała mi rękę.

- Już mi się pani odwdzięczyła - odrzekłem, obawiam się, że nazbyt szorstko, i ująłem jej dłoń. - Nie ma za co.

Potem wyszła z chaty, a ja wkrótce zasnąłem; głowa wciąż huczała mi jak silnik na statku.

Zbudziłem się około północy, poświata księżycowa wpadała ukośnie przez okno, w którym nie było szyb. Dusilem się w ciasnej chacie, głowę miałem rozpaloną i obolałą. Wstałem i wyłowilem z kieszeni pudełko zapalek. Potarłem jedną, aby się rozejrzeć za wodą. Na stole zauważyłem ogarek, więc go zapaliłem, po czym sięgnąłem po kubek z wodą, który ktoś (zapewne lekarz) postawił na podłodze przy moim łóżku. Zdążyłem go podnieść do ust, gdy z zewnątrz dobiegły czyjeś żwawe kroki, a następnie rozległo się niepewne pukanie do drzwi. Bezszelestnie odstawiłem kubek i sięgnąłem po nóż, bo nie spodziewałem się żadnej wizyty o tak późnej porze.

- Kto tam? - spytałem.

- To ja - padła niewyraźna odpowiedź.

Naraz drzwi się otworzyły i stanęła w nich moja Mała Dama! Miała na sobie cienką, białą koszulę nocną, na którą narzuciła różowe jedwabne kimono; stojąc, nerwowo poprawiała kołnierz wokół szyi. Włosy były rozpuszczone i potargane, a małe, gołe stopy tkwiły w różowych jedwabnych kapciach. Oddychała szybko, z rozchylonymi lekko ustami, a oczy lśniły jej jak gwiazdy, kiedy postąpiła w moją stronę.

- Na miłość boską! - jęknąłem i skoczyłem naprzód. Cóż robiła o tej porze i w tym stroju? - Niech pani wraca! - zawołałem łagodnie. - Boże, Mała Damo, nie może pani tu wejść!

- Czy wejść, czy nie, niczego to już nie zmieni - odpowiedziała cicho. - Ja jednak muszę się z panem widzieć, panie Duncan. Przychodzę po pomoc, którą mi pan obiecał.

- Czy ma pani kłopoty? - spytałem i wzruszenie ścisnęło mnie za gardło, kiedy sobie uświadomiłem, że właśnie do mnie zwraca się o pomoc.

- Tak. Ja i Douglas.

Drgnąłem na dźwięk owego imienia, lecz gdy spojrzałem na jej drobną postać otuloną w różowe kimono, śmiertelny chłód przeniknął mi serce, gdyż wiedziałem, że jeśli ktokolwiek ją w tej chwili ujrzy, jej życie zamieni się w piekło.

- Mała Damo, czy nie można z tym poczekać do jutra?

- Wiem, co pan o mnie myśli - zawołała ściszym głosem. - Ale to sprawa życia lub śmierci.

- Słucham - rzekłem krótko, widząc, że sytuacja faktycznie jest poważna.

- No więc... Douglas ma zamiar zastrzelić Juana Mardo.

- Co?! - krzyknąłem, sądząc, że się przesłyszałem.

- Tak - kontynuowała. - Dziś po południu zabrał pistolet i od tamtej pory gdzieś przepadł. Ach, Billy Duncanie, jakże się o niego martwię! Poszłam spać, ale jakieś pięć minut temu obudziły mnie czyjeś kroki biegnące ulicą w kierunku doków. To był Juan Mardo.

- Co dalej?

- Tuż za nim nadbiegł Doug. Stałam przy oknie i zawołałam go, ale niezbyt głośno. Czy pan mnie słyszał?

Pokręciłem głową.

- Spałam. I co dalej?

- Doug nie zatrzymał się na moje wołanie. Wiedziałam, że pan mi pomoże, więc przyszedłam tutaj.

- Co jeszcze?

- To wszystko.

- Bynajmniej - odparłem spokojnie, choć ten mieszaniec znów obudził we mnie zadawnioną wściekłość. - Nie powiedziała mi pani jeszcze wszystkiego.

- Ależ tak - rzekła, nerwowo wykręcając palce.

- Dlaczego Steele chce zabić Mardo?

Wydawało się, że pobladła.

- Doug... Ponieważ Doug... Och! Od początku go zniechęcał.

- Właśnie - potwierdziłem; byłem zdecydowany poznać całą prawdę. - Proszę mi o tym opowiedzieć, Mała Damo.

- To jedyny powód.

Gdy tak mierzyłem ją badawczym wzrokiem, przypomniały mi się opowieści o diabelskich sprawkach, jakich dopuścił się Mardo, i w głowie zaświtało mi straszne podejrzenie.

- Co Juan Mardo pani zrobił? - wypaliłem w jej stronę.

Mała Dama podniosła na mnie oczy i od szyi po czubek głowy oblała się rumieńcem.

- Nic, przysięgam! - zawołała dziko.

Jednym krokiem znalazłem się przy niej i chwyciłem ją za rękę.

- Niech mi pani powie - zażądałem kategorycznie.

- Połamie mi pan rękę!

- Proszę powiedzieć.

- Dziś po południu wracałam do domu - wyszeptała niewyraźnie; słowa tłoczyły jej się na ustach. - Nagle nadszedł Mardo i zagadnął mnie o coś dziwnie. Próbowałam wejść do domu, ale powiedział, że... - Urwała w pół zdania i szarpnęła się. - Niech mnie pan puści.

- Proszę powiedzieć.

- Nie mogę... nie powiem panu!

- Mała Damo, czyżby chodziło mu o t o? - spytałem wymownie. Podniosła oczy, a napotkawszy mój wzrok, skinęła potwierdzająco głową. - Boże, a pani...

- Byłam oszołomiona. Usiłował mnie pocałować... Niech pan przestanie, to boli! Wtedy Doug wyskoczył z domu, wszystko słyszał, a Juan Mardo rzucił się do ucieczki. Doug wyciągnął pistolet, próbowałam go zatrzymać, ale popędził za nim.

- I chce pani, żebym...

- Żeby pan powstrzymał Douga.

- Powstrzymał go? Chyba chciała pani powiedzieć: pomógł mu?

- Nie! Nie! - krzyknęła pospiesznie. - Nie chcę, aby Doug przeze mnie splamił się krwią tego człowieka. Musi go pan powstrzymać. Czy robi pan to dla mnie, panie Duncan?

- Być może - odrzekłem, po czym zadałem jej pytanie, które od pewnego czasu nie dawało mi spokoju. - Mała Damo, czy ma pani zamiar poślubić Douglasa Steele'a?

Nikły uśmiezek wkradł się na jej usta, kiedy odpowiedziała:

- Być może. Dlaczego?

- Ponieważ - odparłem z namysłem - on musi przyjść do pani z czystymi rękoma.

- A więc zatrzyma go pan?! - zawołała z radością.

- Tak. Jeżeli krew Juana Mardo splami czyjeś ręce, to nie jego - obiecałem i puściłem ją.

Podeszła do drzwi i obróciła się ze łzami w oczach.

- Bóg zapłać, Billy Duncanie.

- Jeszcze tylko chwilę - poprosiłem, robiąc krok w jej stronę. - Chcę pani coś pokazać. - Wyciągnąłem z pochwy nóż, który nosiłem na plecach, i podałem go jej.

Był to piękny, mały sztylet wykonany z hiszpańskiej stali, ze srebrnym uchwytem; widziałem, jak rozjaśniają jej się oczy, kiedy go bierze do rąk. W skąpym świetle księżyca Mała Dama przyjrzała się rękojeści i odczytała wygrawerowany na niej napis.

- „Amigo mio” - powiedziała na głos. - Czy to po hiszpańsku?

- Tak, oznacza „Mój przyjacielu”. Ten sztylet był mi zawsze oddanym przyjacielem. Moi przyjaciele są pani przyjaciółmi. Zatrzymaj go, Mała Damo.

- Jest mój? - Jej oczy błyszczały w półmroku.

- Tak - odparłem posepnie. - Obawiam się, że może być pani kiedyś potrzebny. A teraz będzie chyba najlepiej, jeśli pani już pójdzie.

- Chyba tak. Do widzenia, Billy Duncanie. - Wyciągnęła do mnie rękę, w której trzymała sztylet.

Nie chodziło jej o uścisk ręki, toteż się skłoniłem i pocałowałem jej drobną, białą dłoń. Kiedy jej dotknąłem ustami, moje oczy znalazły się tuż nad napisem „Amigo mio” i w duchu zmówiłem krótką modlitwę, żeby ów sztylet - jak na przyjaciela przystało - nie zawiódł jej w potrzebie. Cofnęła rękę i na ułamek sekundy zatrzymała się w drzwiach, z oczami niczym ciemne studnie światła, po czym zniknęła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Któregoś wieczora, w tydzień później, kapitan Harrison podszedł do barometru i z zaniepokojeniem popatrzył na spadające ciśnienie. Ja stałem akurat przy sterze i słyszałem tylko, jak mruczy pod nosem coś na temat nadciągającego sztormu. Panowała duszna noc, w powietrzu nie czuło się najmniejszej bryzy i puste żagle oklapły żałośnie. Morze miało szklistą powierzchnię, nasz statek wyglądał na nim jak namalowany.

Czerń i cisza wypełniały noc. Jakże się różniła od księżycowej nocy sprzed tygodnia, kiedy to Mała Dama przyszła do mnie, prosząc o pomoc. Uczyniłem wówczas, co tylko mogłem, aby nie zawieść zaufania, jakie we mnie pokładała, a choć się jej nie sprzeniewierzyłem, zadanie, które sam sobie wyznaczyłem, zakończyło się niepowodzeniem. Dziesięć minut po tym, jak Mała Dama wyszła ode mnie, odnalazłem Douglasa Steele'a na przystani, gdzie wśród bel i skrzyń polował na znieawidzonego mieszańca. Natknąłem się na niego niespodzianie - obszedłszy jedną z wielkich skrzyć, poczułem nagle lufę pistoletu, którą wepchnął mi w brzuch. Nie zdziwiłem się za bardzo, gdyż oczekiwałem podobnego spotkania, ale nie byłem przygotowany na to, że zobaczę Steele'a tak odmienionego.

Rozhisteryzowany chłopaczek, jakiego się spodziewałem, okazał się opanowanym mężczyzną o zaciętym wyrazie twarzy, który śmiało stawiał mi czoło. Nie krył rozczarowania, że nie jestem tym, kogo poszukiwał, lecz tylko zaklął ściszym głosem. Właśnie tam, w przystani, podczas gdy pod stopami pluskała nam ciemna woda, powtórzyłem Steele'owi to, co powiedziała mi Mała Dama.

Przez moment przypatrywał mi się osobliwie, a potem zapytał cicho:

- Gdybyście to wy kochali pannę Ross, Duncan, czy pozwolilibyście temu czartowi uciec bezkarnie?

- Nie zamierzam mu na to pozwolić - wyjaśniłem. - Sam go zabiję.

- Przepraszam - odparł chłodno Steele - ale Mardo to moja zwierzyna.

- Posłuchajcie mnie, Steele - rzekłem, nie wiedząc, jak go przekonać. - Należycie do ludzi z tej samej sfery co Mała Dama i któregoś dnia... ożenicie się z nią. - Steele rzucił mi przelotne spojrzenie, ale się nie odezwał. - Nie możecie pojąć jej za żonę splamioną czyjąkolwiek krwią - kontynuowałem - choćby najgorszego drania. Poza tym ona nigdy by o tym nie zapomniała.

- Co ma być, to będzie - wycedził Steele. - Zabiję go i tyle.

- Chcecie powiedzieć, że to ja go zabiję - sprostowałem.

I tak kłóciliśmy się, stojąc w blasku księżyca, przez dobre pół godziny, zanim Steele, choć nie bez ociągania, przystał na mój plan. Oddał mi swój pistolet, ja natomiast obiecałem, że jeśli tej nocy mi się nie powiedzie, zostawię mu ową broń pod ogromną skrzynią, gdyż „Kaliban”

przyplýwał po mnie o godzinie piątej. Wreszcie przypieczętownaliśmy nasze porozumienie uściskiem ręki i Steele puścił się biegiem krętą uliczką, mając przed sobą całe życie.

Reszta nocy zeszła mi na przeszukiwaniu dzielnicy portowej, ale nie odnalazłem Juana Mardo. W końcu zatem, gdy o wschodzie słońca „Kaliban” zacumował u brzegu, wcisnąłem pistolet Steele'a w umówione miejsce pod skrzynią i wspiąłem się na pokład, co chwila spoglądając przez ramię w stronę małego domku senory Castro.

W kieszeni na biodrach wymacałem ciężki rewolwer, który kupiłem jeszcze w Yindano, jako że na Laysen wyruszyłem dobrze przygotowany. Nagle podszedł do mnie kapitan; widać było, że jest zaniepokojony.

- Bill, coś niedobrego wisi w powietrzu.

- Przypuszczam, że tajfun - odparłem beztróska, bo głowę zaprzętały mi nadal myśli o ostatniej nocy.

- Nie sądzę. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Musimy jak najszybciej zawinąć do portu.

- Najbliżej jest Laysen - stwierdziłem. - Przy sprzyjającym wietrze znajdziemy się tam za trzy godziny.

- Kłopot właśnie w tym, że nie ma wiatru - warknął kapitan. - Idź do kajuty, Bill, i trochę się prześpij. Niech Sung Lo przejmie ster. Później będziesz bardziej potrzebny.

Oddałem ster Chińczykowi i zszedłem pod pokład. Nie wiem, jak długo spałem, ale gdy się obudziłem, statek kołysał się zatrważająco, a w powietrzu niosła się woń siarki. Ktoś z załogi łomotał do moich drzwi. W momencie gdy wyszedłem na pokład, spowiła mnie chmura duszącego, rozżarzonego pyłu. Udało mi się jakoś dotrzeć do steru, przy którym stał kapitan. ścisnął go kurczowo, starając się nie dopuścić do tego, aby wielkie jak góry fale przykryły „Kalibana”. Ledwie się znalazłem obok niego, zalał nas deszcz rozgrzanego popiołu i kapitan zatoczył się do tyłu.

- Przejmij ster, Bill! - wychrypiał, przekrzykując zgiełk. I trzymaj kurs. Ja zobaczę, co z ludźmi.

- Co się stało? - wykrztusiłem i przywarłem do steru rozkołysanego statku.

- Wulkan, gdzieś w pobliżu - doszła mnie odpowiedź, po czym kapitan się oddalił. Na moment wypuściłem ster z rąk, żeby zasłonić twarz chustą, później jednak trzymałem go ze wszystkich sił.

Na pokładzie rozpętało się istne piekło: z nieba spadały mewy, niektóre były już martwe, inne były jeszcze skrzydłami i skrzeczały, powodując tym większy hałas i zamieszanie. Gorący popiół wulkaniczny zasypywał nas bezustannie, przepalał mi koszulę i parzył skórę. Zanim lampka nad busolą pękła, zdołałem zobaczyć, jak jej igła wiruje dziko. Mimo rozszalałego żywiołu dobiegł

mnie słaby głos kapitana wykrzykującego rozkazy oraz przerażone wrzaski załogi. Ogarnęły nas chmury gazu i zacząłem się dusić, lecz nie wypuściłem z rąk steru. „Kaliban” raz podnosił się na grzbietach fal - nie wiem, na jaką wysokość - to znów opadał, aż mdliło w żołądku, i zagłębiał się w spienioną kipieli. Kolejne powodzie zalewały pokład - pamiętam, że woda była gorąca. Gdy wybuchły nowe chmury pyłu, o mało nie straciłem przytomności; dostrzegłem idącego do mnie chwiejnym krokiem kapitana.

- Przywiąż ster i schodź na dół! - zawołał ochryple.

Na wprost oszołomiony wykonałem jego rozkaz.

Na tyle, na ile byliśmy w stanie, unieruchomiliśmy ster, po czym przedarliśmy się do trapu. Zeszliśmy pod pokład i zatrzasnęliśmy za sobą klapy wjazdu. Wyczerpany osunąłem się między cuchnących i piszczących ze strachu ludzi i po chwili zapadłem w sen.

Kiedy kapitan mnie zbudził, był już ranek. Słońce paliło, a powietrze stało zupełnie bezwietrzne; spokojne morze pokryło się mulistą, szarą warstwą popiołu. Jako że wiatr nie wypełniał naszych żagli, tkwiliśmy w owej martwocie przez wiele godzin. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek przeżył skwarniejszy dzień. Słońce prażyło niemiłosiernie, aż deski pokładu rozgrzały się niczym palenisko. Cierpieli nawet Japończycy i Chińczycy, którzy przecież nawykli do upałów, podczas gdy ja i kapitan oblewaliśmy się potem.

Jestem pewien, że upał powaliłby nas obu, gdyby nie lód, który załadowaliśmy w Yindano. Dopiero o zachodzie słońca powiał pierwszy rześki wietrzyk i ruszyliśmy w stronę Laysen. Co prawda sztorm zepchnął nas daleko z wyznaczonego kursu, ale obliczyliśmy, że jeżeli bryza się utrzyma, dopłyniemy do portu około północy. Wietrzyk istotnie się utrzymał, toteż owej nocy spałem spokojnie. Nazajutrz znów miałem ujrzeć Małą Damę. Pamiętam, że śnił mi się piękny sen, gdy czyjaś ręka bezceremonialnie mną potrząsnęła i zobaczyłem nad sobą kapitana. Mimo opalenizny miał pobladłą twarz; od razu się zorientowałem, iż stało się coś bardzo złego.

- Bill, na jakiej długości geograficznej leży Laysen? - Zauważyłem, że Jim trzyma w ręce papier i ołówek. Powiedziałem mu. - Zgadza się. Dlatego pomyślałem, że śnię.

- Co się stało?

- Czy wiesz, Bill, że jesteśmy dokładnie w tym miejscu?

- Nie wiedziałem o tym - odparłem stropiony. - Czy to już dwunasta? Mielśmy dotrzeć do Laysen o północy.

- Nie rozumiesz?! My jesteśmy na miejscu, tylko że nie ma tu Laysen!

Upłynęła dłuższa chwila, zanim dotarł do mnie okropny sens słów kapitana. Nie wiedzieć czemu osłupiałem, niezdolny do jakichkolwiek myśli, cały czas gapiąc się na Jima.

- Nie żartuj! - wyrzuciłem z siebie w końcu, ale zanim się odezwał, wiedziałem, że to nie żarty. Raptem kapitan postarzał się o dziesięć lat, posiwiiał i zmizerniał.

- Zmierzyłem położenie słońca w południe - powiedział drewnianym głosem. - Nie ma wątpliwości: znajdujemy się bezpośrednio nad Laysen.

- Boże! To znaczy że...

- Wyspa zatonała w czasie sztormu.

Jim popatrzył mi w oczy. Dopiero wtedy, jakby trafił mnie piorun, uzmysłowiłem sobie pełny sens jego słów. Zakręciło mi się w głowie - wszystko działo się zbyt szybko, aby to pojąć. Spoglądałem na niego, porażony niemotą, i zobaczyłem w jego oczach, że myśli o tym samym co ja. Mała Dama!

- To niemożliwe - westchnął słabo.

- Sung Lo musiał zejść z kursu! - krzyknąłem, chwytając się ostatniej nadziei, tak jak tonący chwyta się przysłowiowej brzytwy.

- Ja stałem za sterem - odparł kapitan znużonym głosem. - Chodźmy na pokład, Bill.

* * *

Nie pytaj mnie, Charley, jak minęła nam owa noc lub następny dzień. Byłem oszołomiony, wciąż niezdolny zrozumieć, co się wydarzyło. Przez cały ranek kapitan Harrison okrążał tamto miejsce, ja jednak nie potrafiłem nic zrobić, wciąż tylko myślałem o Małej Damie. Przypomniałem sobie, jak widziałem ją ostatnim razem: kiedy stała w drzwiach, z oczami głębokimi i nieodgadzionymi, i trzymała przy piersi sztylet z napisem „Amigo mio”, a lekki wiaterek powiewał jej różowym kimonem. Miałem jej nigdy więcej nie ujrzeć? Nie słyszeć dźwięku jej chłopięcego śmiechu ani nie widzieć figlarnego chochlika w jej oczach? Nigdy już nie poczuć słodczy jej kobiecego wdzięku? Nigdy? Nigdy więcej?!

W południe kapitan powtórnie wycelował w rozpalone słońce, lecz nasza pozycja się potwierdziła. Nie mogło być mowy o błędzie. Laysen przepadła w morskich odmętach. Po wyspie nie pozostał nawet ślad.

Mimo to pływaliśmy tam aż do popołudnia, łudząc się resztkami nadziei, że to wszystko jest tylko ohydny koszmarem albo że popełniliśmy jakiś kolosalny błąd. W końcu jednak skierowaliśmy się ku Yindano, żeby zanieść tam smutne wieści. Zbliżał się już zachód słońca, gdy krzyk sternika kazał mi wyskoczyć z kajuty na pokład.

- Statek na horyzoncie!

- Bill! - rozległ się nieopisanie radosny wrzask kapitana. - Bill, chodź tu szybko! Bill, ty cholerny draniu! Jest biały żaglowiec!

Nigdy przedtem ludzkie wołanie nie poderwało mnie do szybszego biegu. Nie wiedziałem jeszcze, co kapitan ma na myśli, ale tylko jedno mogło wywołać w jego głosie ową nutę. Cała załoga ustawiła się rzędem wzdłuż sterbortu, mamrocząc z podniecenia i podskakując w miejscu. Roztrąciłem kilku ludzi, którzy stanęli mi na drodze, i przyskoczyłem do kapitana; pobiegłem

wzrokiem za jego drżącym palcem, który wskazywał coś w oddali. Ogniste słońce zachodziło majestatycznie, a czerwona poświata na zachodzie wróżyła kolejny upalny dzień. Na wodzie pojawiła się krwawa ścieżka, której środkiem zbliżał się do nas biały stateczek z rozwiniętymi żaglami. Gdy podszedł bliżej, wesoło ślizgając się na szczytach fal, na rozgadaną załogę padła dziwna cisza.

- Ahoj, żaglowcu! - ryknął kapitan przez oddzielającą nas od statku wodę.

Czekaliśmy, wstrzymując oddech, lecz nasze powitanie zostało bez odpowiedzi. Kiedy statek, z żaglami wydymanymi przez wiatr, podpłynął jeszcze bliżej, rozpoznałem w nim żaglowiec, na którym miesiąc wcześniej zobaczyłem Małą Damę.

- Ahoj! Dlaczego nie odpowiadacie?! - wrzasnął ze złością kapitan, czekając niecierpliwie na odpowiedź. W tym momencie, czując, jak zamiera we mnie serce, zdałem sobie sprawę, że nikt nie odkrzyknie nam z owego małego białego żaglowca.

- Bill, spójrz - szepnął Jim. - Tam... tam coś leży na pokładzie. To człowiek.

- Zdaje mi się, że jest ich dwóch - odparłem.

- Nie, trzech - stwierdził Jim matowym głosem.

Raptem zawrzało znów od ogłuszającej paplaniny załogi, wśród której kapitan zwrócił się do mnie cicho:

- Spuść szalupę, Bill.

Poleciałem opuścić łódź obok burty, a następnie kapitan, ja oraz czterech Japończyków przy wiosłach podpłynęliśmy do „Wesołej panny”, taka bowiem nazwa widniała na dziobie żaglowca. We dwójkę wdrapaliśmy się na mały pokład i podeszliśmy do pierwszego z ciał. Był to Japończyk, który, mimo ran zadanych nożem, zginął trafiony kulą w klatkę piersiową. Obaj z Jimem, milcząc, spojrzeliśmy sobie w oczy, a potem przeszliśmy do drugiego mężczyzny. Obróciwszy go twarzą ku górze, odkryliśmy, że jest to ogromny tubylec - jeden z drabów, którymi otaczał się Juan Mardo; także umarł od kuli, lecz na całym ciele miał straszne siniaki, a twarz opuchniętą od ciosów.

- Ciekawe - szepnął kapitan.

Obok trzeciego mężczyzny leżał pusty, pęknięty kielich i zanim jeszcze Jim obrócił ciało, wiedziałem, kto to jest.

- Juan Mardo - stwierdził kapitan ponuro, badając go. - Jedna rana cięta na ramieniu. O Boże, Bill, nie chciałbym umrzeć z pragnienia.

- Nie został zastrzelony?

- Nie. Ma niewielkie skaleczenia. Wywiązała się tu nie byle jaka walka. Ale Mardo umarł z pragnienia, wczoraj, po wybuchu wulkanu. Wszystko wskazuje na to, że nie była to lekka śmierć.

- Zapewne - powiedziałem tylko, lecz patrząc na jego wykrzywioną twarz, poczułem niemal odruch współczucia.

Nie ma nic gorszego niż śmierć z pragnienia w tropikach. Z powrotem obróciliśmy Mardo twarzą w dół i dopiero wtedy spostrzegłem na pokładzie szeroką, na poły zatartą smugę krwi, która prowadziła do malutkiej kajuty.

- Bill - usłyszałem chrypliwy głos kapitana. - Kajuta.

- Widzę - potwierdziłem ospale, wciąż bowiem miałem wrażenie, jakbyśmy poruszali się we śnie.

Ruszyliśmy się niemrawo, przygotowując się na najgorsze, a zarazem lękając się tego, co zastaniemy w kajucie. Wreszcie jednak pokonałem krwawy szlak i zszedłem po trzech małych schodkach do środka. Kapitan był tuż za moimi plecami. Czerwone promienie słońca ukośnie wpadały przez luki, oświetlając małą kajutę posępnym blaskiem, lecz nagle przejście ze światła w mrok na wpół mnie oślepiło.

Pierwsze, co zobaczyłem, to dwie nagie stopy, zakurzone, poparzone i poranione od ostrych krawędzi skał.

- Douglas Steele - szepnął cicho Jim.

Wtedy i ja go dostrzegłem; słońce opadło jeszcze niżej i w kajucie zrobiło się teraz jaśniej. Douglas Steele leżał na plecach w wyschniętej kałuży krwi, mając na sobie jedynie spalone, poczerniałe spodnie od pidżamy; całą klatkę piersiową miał pokiereszowaną nożem - długie cięcia biegingy od ramion po talię, obok krótkich, głębokich ukłuc i nierównych ran szarpanych. To właśnie jego zobaczyłem najpierw, dopóki mój wzrok nie...

- Odwagi, Bill - doszedł mnie tuż zza pleców drżący głos kapitana: wówczas ujrzałem moją Małą Damę.

Siedziała oparta o ścianę, trzymając głowę Douglasa Steele'a na kolanach. Miała zamknięte oczy. Mimo że była nieruchoma, na jej wargach błąkał się spokojny, nieokreślony uśmiech - uśmiech triumfu. Ubrana była w ten sam strój, w którym widziałem ją - Bóg jeden wie, ile wieków temu - po raz ostatni: w białą nocną koszulę i różowe jedwabne kimono.

Jakby we śnie ujrzałem, jak kapitan cicho podchodzi do niej na palcach i delikatnie bierze do ręki różowy jedwab.

- Bill - szepnął łagodnie, a ja pokonałem dzielącą nas przestrzeń. - Popatrz, Bill - powiedział i odsłonił kimono.

Ostatnie promienie słońca błysnęły na sztylcie „Amigo mio”, który tkwił po rękojeść w białej piersi.

Pamiętam, że nawet w owej mrocznej godzinie przeszedł mnie dreszcz dumy, gdy uświadomiłem sobie, że nóż nie zawiódł Małej Damy w potrzebie. Krwi było wszakże mało, ponieważ sztylet zatamował jej wypływ. W chwili gdy słońce zanurzyło się za horyzont, do kabiny wpadł czerwony promień i oświetlił twarz Małej Damy, tak iż blade policzki nabrały rumieńców;

zdawało się, że jej uśmiech raz jeszcze rozbłysnął, tak jak niegdyś, po czym słońce zniknęło.

Nigdy się nie dowiedziałem, co stało się potem. Coś we mnie pękło. Po jakimś czasie dobiegł mych uszu - jakby z oddali - głos kapitana Harrisona:

- Przeniósł ją przez to całe piekło lawy i gorącego popiołu. Ten chłopak udowodnił, że był prawdziwym mężczyzną. Udało im się dotrzeć do tej łajby, ale panowało takie zamieszanie, że pod osłoną dymu Mardo i jego ludzie też dostali się na pokład. Wielki Boże, walka musiała się rozegrać zaraz po tym, jak sztorm ucichł. Nie ulega wątpliwości, że chłopak wyrzucił kilku napastników za burtę. Jest i jego broń. - Jim się schylił i podniósł pistolet, który leżał obok głowy zabitego. - Pusty - stwierdził cicho, otwierając go. - Położył ją w kajucie, a potem wyszedł walczyć z tymi zbirami, póki ich noże go nie dosięgły. Pokrwawiony, nie mając więcej naboju, musiał się tutaj doczołgać i umarł w jej ramionach. A potem, Bill - kapitan spojrzał mi z powagą w oczy - Mała Dama usłyszała nadchodzącego Juana Mardo i przebiła się „Amigo mio”. Niech Bóg błogosławi jej małe dzielne serce, gdyż nie bała się śmierci!

Siedziałem w ciemnościach, nie poruszając się. Nagle świat stracił dla mnie sens. Po co miałem dłużej żyć? Życie było czcze i ponure. Słońce opuściło moje niebo i wszystko okrył mrok.

- Chodź, Bill - odezwał się miękko kapitan. - Czas na nas.

Ociężale podniosłem się z miejsca i ruszyłem za nim. Przy drzwiach odwróciłem się i spojrzałem na długie ciało Douglasa Steele'a odcinające się w półmroku. Coś podeszło mi do gardła i zaczęło mnie dławić.

- Dziękuję ci, Steele - rzekłem tkliwie, jak gdyby tamten mógł mnie usłyszeć. - Dziękuję.

- Dziękuję - powtórzył jak echo kapitan Harrison.

W szybko zapadającym zmierzchu Jim i ja staliśmy z odkrytymi głowami przy nadburciu i obserwowaliśmy, jak „Wesoła panna” powoli opada na dno. Przeniósłszy ciała Juana Mardo i jego ludzi do kajuty, zatrzasnęliśmy klapy i przedziurawiliśmy kadłub poniżej linii wody. W gęstniejącym zmroku żaglowiec tonął coraz szybciej i szybciej, a wraz z nim przepadało moje serce, moje nadzieje, moje życie.

Gdzieś tam, na południowym Pacyfiku, spoczywa mały, biały statek, którego załogę stanowi dziwna grupa ludzi: czarci pomiot i dwóch jego pomocników, młody mężczyzna, który okazał się prawdziwym mężczyzną, oraz kobieta, która ceniła swój honor o wiele wyżej niż własne życie.